Stanley G. Weinbaum, Donald Wandrei, Edward E. Smith, Harl Vincent, Murray Leinster

Wyzwanie spoza świata

(The Challenge from Beyond)

Fantasy Magazine, September 1935
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

[Stanley G. Weinbaum]

— **N**ie ma czegoś takiego jak prawda! — warknął ostro profesor Thaddeus Crabbe, patrząc wojowniczo na swego młodego asystenta, Jerry'ego Blake'a. — Żaden fakt ani stwierdzenie nie są w pełni prawdziwe!

— Oprócz pańskiego ostatniego stwierdzenia, jak przypuszczam — uśmiechnął się szeroko młodszy z mężczyzn, unosząc wzrok ze swego ciemnego kącika w laboratorium astrofizycznym Fundacji Crannana. — A w każdym razie, czym spowodowana jest ta uwaga?

Crabbe wyprostował sztywno swoje ogromne ciało.

— Powtarzam — oznajmił z imponującą godnością tęgiego człowieka — że prawda ma charakter czysto relatywny. Zależy ona, jak dowiódł Einstein, od punktu widzenia obserwatora. Jak wszystko inne we wszechświecie Einsteina, czy de Sittera, jest ona całkowicie względna, a co więcej, prawdopodobnie jest również zakrzywiona. Interesujący pomysł — zakończył refleksyjnie. — Zakrzywiona prawda.

Blake zachichotał.

— Ale, skąd ten wybuch?

Profesor ponownie powiódł groźnym spojrzeniem.

— Ci głupi dyrektorzy! — zapłonął gniewem. — Nie będzie aprobaty, dopóki nie przedstawię dowodów, że moja teoria opiera się na prawdzie. W dodatku domagają się zapewnienia, że eksperyment nie odbije się na Fundacji. Od czasu kiedy w zeszłym roku dział biochemii otruł swój przedmiot badania, za każdym razem obawiają się kłopotów. Prawda… ha!

— Jaki eksperyment? — zapytał Blake.

— Właśnie miałem ci o tym powiedzieć — Crabbe wcisnął swoje ogromne cielsko w fotel. — Oczywiście, i tak byś nie zrozumiał, w końcu jesteś tylko statystykiem, ale może będziesz w stanie docenić poprawność ogólnej koncepcji. Nawet statystycy powinni wiedzieć coś o faktach reprezentowanych przez ich liczby.

— No cóż, profesorowie rzadko wiedzą cokolwiek o liczbach reprezentowanych przez ich fakty — żartobliwie zauważył Blake.

— Zakrzywiona przestrzeń — wymamrotał Crabbe. — Zakrzywiony czas. Nieskończenie martwa przeszłość. A co więcej — dodał — zakrzywiony rozmiar! Dlaczego nie? Jeśli założymy istnienie teleskopu, który sięgnąłby w nieskończoną wielkość, oraz mikroskopu, który zagłębiłby się w nieskończoną małość, dlaczego nie mielibyśmy zobaczyć tego samego? Oczywiście! Spoglądając w oba przyrządy, powinniśmy zobaczyć strefę pośrednią między mikro i makrokosmosem, to znaczy siebie. Stoimy w połowie drogi między elektronem i gwiazdą. Tak więc, dlaczego nie zakrzywiona prawda?

— Dlaczego nie? — spytał niezmieszany Blake.

— Zdaje się, że nie bierzesz mnie poważnie — stwierdził podejrzliwie profesor. — Naturalnie, nie jesteś w stanie zrozumieć paradoksów względności, rażących paradoksów, które miał zgłębić mój eksperyment, gdyby ci głupcy tam na górze pozwolili mi wynająć przedmiot badania.

— Miałem nadzieję — zauważył Blake — że wyjaśni mi pan na czym polega pański eksperyment.

— Wyjaśnić? Jak mam to wyjaśnić głupcowi, który potrafi tylko żonglować liczbami? Ale jeśli chcesz, posłuchaj. Nie zrozumiesz tego, co prawda, żeby zacytować Jeansa: „Większość symboli używanych dzisiaj przez fizyka matematycznego, nie przekłada się na żaden fizyczny obraz w jego umyśle". Jednak tak dla jasności, Shapley dokonał pewnego bardzo trafnego stwierdzenia, dotyczącego tego, że mgławice spiralne nie pasują do żadnych znanych praw mechaniki. Poczynił tę bardzo znaczącą sugestię, kiedy zaobserwował, że ogromne mgławice zachowują się tak, jakby do naszej trójwymiarowej przestrzeni była przez nie wtłaczana materia, z – zewnątrz. Ta właśnie obserwacja pchnęła mnie do badań ruchów wirowych, ponieważ kolosalne spirale pozagalaktycznych mgławic są w każdym przypadku niesamowicie ogromnym wirem. Przyszło mi do głowy, żeby spróbować powielić warunki panujące w takiej mgławicy, na skalę laboratoryjną. I to jest właśnie sedno tego eksperymentu – wir. Ale nie wir, w zwykłym tego słowa znaczeniu.

— Oczywiście, że nie — zgodził się przyjaźnie Blake.

— Nie, nie taki zwykły wir. Przede wszystkim musi on mieć miejsce w gazie tak rzadkim, że można by go nazwać praktycznie zupełną próżnią, ponieważ gazowe serca mgławic, mają właśnie gęstość takiego rzędu. No i, oczywiście, strumienie gwiazd tworzące ramiona spiralne, są niemożliwe do powielenia przez człowieka. — Crabbe przerwał na chwilę, marszcząc brwi. — Ale mgławice są czymś więcej niż tylko wirami rozrzedzonego gazu. Stanowią one również źródło ogromnego wiru grawitacyjnego, którego realizacja również przekracza ludzkie możliwości. Jednak dla moich celów, zastąpiłem wir magnetyczny, wirującym polem siły. I w końcu, aby uzupełnić listę znanych zjawisk, nałożyłem na te dwa pierwsze zawirowania, wir promieniowania.

— I kiedy pan przez to wszystko przebrnął — retorycznie zapytał Blake, — co pan otrzymał?

Wodnisto niebieskie oczy na twarzy Crabbe'a rozbłysły, okrągłe oblicze profesora rozciągnęło się w uśmiechu.

— Otrzymałem dziurę — oznajmił. — Dziurę, albo tunel.

— Dziurę, w czym? Tunel, dokąd?

— No cóż, w czym, nie jestem w stanie powiedzieć. Dokąd, nie wiem.

— Muszę więc panu powiedzieć, że jakoś nie jestem w stanie winić dyrektorów za ich decyzję! Jest takie przysłowie, o dziurze w moście.

Crabbe zignorował jego słowa.

— Pośrodku wiru, wytworzyłem dziurę — mówił dalej. — Niestety, królikom i kotom brakuje tego, co my ludzie lubimy nazywać naszą inteligencją, i te które przez nią wysłałem nie były w stanie wymyślić żadnych środków powrotu, jeśli ich stan fizyczny na to pozwalał. Ponieważ nasz koniec wiru znajduje się w próżni, trzeba było wysyłać je w

zamkniętych słojach, a to środowisko nie zapewnia długiego żywota, chyba że udało im się z nich uciec. Kilka razy próbowałem rozwiązania z przymocowaniem do pojemnika sznura, i wyciągnięciem ich stamtąd. Kot lub królik wracał niewątpliwie wystraszony, ale czy bardziej wystraszony niż byłby, gdybym go wsadził i wyciągnął z kanału ściekowego, nie jestem w stanie powiedzieć.

— Mógł pan zajrzeć do tej dziury?

— Na ograniczoną odległość — odparł Crabbe. — Efekt optyczny jest dosyć przerażający, ponieważ kot i słoik wydają się maleć, ale nie odsuwać Wygląda to tak, jakby patrzyło się do dużej rury zawierającej mój wir, i obserwowało wiszący i coraz bardziej malejący w oddali pojemnik z kotem, ale nie oddalający się i pozostający w odległości, powiedzmy, na wyciągnięcie ręki. Bardzo dziwaczne. Gdyby ci głupi dyrektorzy pozwolili mi wynająć jakiegoś ochotnika, człowieka który by przeszedł przez taką dziurę, a potem został wyciągnięty, aby opowiedzieć o wszystkim… — Profesor nagle skierował swe rozgniewane wodniste spojrzenie na Blake'a. — Na Boga! Przecież ty możesz pójść!

— Ja? Chyba pan zwariował!

— Zwariowałem, co! Kogo obchodzi, co się stanie ze statystykiem?

— Mnie — oznajmił zdecydowanym tonem Blake.

— Ale pomyśl tylko o możliwościach! Czy nigdy nie chciałeś zdobyć chwały naukowej? Przecież ja na twoim miejscu, uznałbym za zaszczyt możliwość zaryzykowania swego bezpieczeństwa!

— No to, dlaczego nie pan? To znaczy, jeśli jest pan w stanie przecisnąć się przez tę dziurę.

Przez pewien czas Crabbe wpatrywał się z zamyśleniem w młodszego mężczyznę.

— No, dobrze! — rzucił ostro, nagle zdecydowany. — Powiem ci, co zrobimy. Przygotujemy dwa ubrania ochronne ze zbiornikami z tlenem i obaj tam wejdziemy!

[Donald Wandrei]

— **A**ż do tej chwili niespecjalnie marzyłem żeby tam wejść. Ale ponieważ pokazał pan, że nic nie wie o liczbach reprezentowanych przez pańskie fakty, muszę się z panem wybrać, i mieć na pana oko — odciął się wesoło Blake.

Crabbe zrobił się purpurowy.

— Co chciałeś powiedzieć, przez tą bezczelną uwagę! — zaryczał. — Mógłbym kazać cię wywalić na zbity pysk za tę… tę…

— Bezwstydną niesubordynację, tak to się zwykle określa. Ale tego pan nie zrobi. Proszę posłuchać, przygotujemy trzy skafandry.

Ogromna postać profesora zadrżała, ale zainteresowanie zaczynało w nim przeważać nad gniewem.

— Po co trzy? Przecież jest nas tylko dwóch?

— To właśnie dowodzi, że żaden z pana statystyk — stwierdził młody asystent, wsadzając kolejną szpilę w ego profesora. — Po pierwsze, powinniśmy mieć ze sobą zapasowy, tak na wszelki wypadek. Po drugie, kiedy przejdziemy przez wir, może być nas więcej niż dwu. Może zostaniemy również zakrzywieni, w całe mnóstwo zaburzonych wersji nas samych w wielu różnych wymiarach. Prawdę mówiąc, powinniśmy zabrać ze sobą więcej skafandrów, niż dalibyśmy radę udźwignąć.

— A po trzecie? — powiedział zjadliwie Crabbe.

— Po trzecie — kontynuował niezmieszany Jerry, — nawet gdybyśmy potrzebowali tylko dwóch skafandrów, możemy chcieć kogoś lub coś zabrać z nami z powrotem.

— Co takiego?

— A skąd, u licha, mam wiedzieć? — odparł Jerry, marszcząc brwi. — Może czterowymiarowe jajo, a może pięciopłciowego – niech pan sam sobie wymyśli nazwę, i to właśnie naprawdę rzeczywistego.

— Cztery… pięcio… rzeczywisty… — wybełkotał Crabbe.

— A dlaczego by nie? Proszę spojrzeć w lustro, a zobaczy pan siebie samego plus parę budynków. Gdyby zbudował pan dostatecznie duże lustro, odbijałoby ono cały wszechświat. A przypuśćmy, że wszechświat jest lustrem? Kiedy przejdziemy przez wir, może właśnie stwierdzimy że nasz wszechświat jest tylko lustrem, odbijającym prawdziwą rzeczywistość – tę która jest poza nim.

— Co za pomysł! — warknął Crabbe.

— Co za pomysł! — zapiał parodiując go Blake. — Pan nie istnieje. Ja nie istnieję. Nikt nie istnieje. Wszechświat jest oszustwem. To tylko kolosalne lustro, odbijające naturę znajdującej się poza nim rzeczywistości. Wykopał pan dziurę, tunel, wir przez nie, a teraz wydostaniemy się na zewnątrz.

Olbrzymia postać profesora nagle poderwała się i opadła, kiedy zabrał się i zaczął chodzić.

— Zamknij się! Koniec tego gadania! Do roboty! Fundacja Crannana ma wszystko, co jest nam potrzebne. Ruszamy jutro w nocy.

Jerry zrezygnował i zabrali się do pracy. Do świtu przygotowali trzy skafandry. Ale kiedy następnej nocy Crabbe i jego asystent spotkali się w laboratorium, z trzech skafandrów zostały tylko dwa.

Profesor popatrzył z wściekłością na Blake'a.

— Co ty sobie myślisz! Gdzie schowałeś ten trzeci skafander?

— Może mnie pan przeszukać. Po co, u diabła, miałbym go chować?

Crabbe popatrzył groźnie na wir.

— Pewnie za chwilę mi powiesz, że on sam na własną rękę przeszedł przez wir. Daj sobie spokój, nie lubię zagadek. Tylko ty i ja mamy klucze do laboratorium, poza zapasowym kompletem w szafie dyrektora. Przeszukałeś pomieszczenie?

— Nie. Przyszedłem tuż przed panem. Ale dobrze pamiętam, że zostawiliśmy te trzy skafandry razem, na blacie stołu. Proszę posłuchać, a może ktoś wyszedł z wiru…?

— … i zabrał jeden ze skafandrów? Ha, ha, ha. — parsknął profesor. — Ktokolwiek by stamtąd nie wyszedł, musiałby mieć swój własny ubiór,

chroniący go przed naszą atmosferą. Z naszych skafandrów nie miałby żadnego pożytku.

— Ale ja bym miała! — zabrzmiał gdzieś spoza nich wyraźny głos.

Okręcili się wokół siebie. Z ciemnej szafy stojącej na drugim końcu laboratorium, wyłoniła się właśnie postać w dziwnym okryciu, będącym skrzyżowaniem stroju nurka i skafandra kosmicznego. Głos dobiegał wyraźnie z urządzenia wbudowanego w hełm. Z całej postaci intruza mogli dostrzec wyłącznie malutki, wojowniczy nosek i brązowe oczy z widocznym w nich wojowniczym błyskiem.

— Złodziejka. Rozkazuję pani natychmiast wychodzić z mojego skafandra — zaryczał Crabbe.

— A ja rozkazuję panu natychmiast przestać wrzeszczeć — sparodiowała groźny głos profesora Leora Crannan. — Poza tym, wcale nie jestem złodziejką. Mój dziadek założył Fundację, a mój ojciec jest jednym z jej dyrektorów. To ich pieniądze napędzają…

— Ale to mój mózg zbudował skafander. I wir. Blake i ja, wchodzimy do niego.

— Wy idziecie, to i ja — machnęła wesoło w stronę wiru. — Na wypadek, gdybyście nie wiedzieli, już całe lata temu w ściany wszystkich laboratoriów zostały wbudowane rejestratory rozmów. Dyrektorzy Fundacji wiedzą o waszych planach, a ja idę razem z wami.

— Prozę posłuchać, Lee, nie możemy pani na to pozwolić! Zabraniam pani wchodzić w mój wir!

— Odkąd to ktokolwiek może otrzymać wyłączne prawa do dziury, a już szczególnie dziury w kosmosie! — spytała słodko Leora, odpowiadając Crabbemu i weszła do wiru.

— O, mój Boże, ona to zrobiła! — zmarszczył brwi Jerry. — No, dalej. Musimy założyć nasze skafandry i natychmiast pędzić za nią, albo ją stracimy.

Kiedy gorączkowo naciągali je na siebie, zobaczyli dziwne zjawisko. Leora, w wirze, zmalała jakby oddali, a jednocześnie przysunęła się bliżej do ich oczu. Była to dziwna, podwójna iluzja, nieskończenie wielkiej odległości i ekstremalnej bliskości, oddalającej się od nich Leory.

Dziewczyna zatrzymała się jednak i obejrzała na nich, dokładnie w chwili gdy wkraczali do wiru, i kiedy już się bali, że mogła od nich odejść poza lub pod zasięg widoczności. Jej odwaga osłabła, gdy zobaczyła, że jest sama w wirze, ale kiedy dostrzegła podążających jej tropem Crabbego i Jerry’ego, ruszyła w dalszą drogę.

[Edward E. Smith]

— **Z**apnij ten pasek na jednym z pierścieni przy pasie, Jerry! — polecił Crabbe zanim jeszcze wyszli z czegoś w rodzaju zaworu, czy też śluzy powietrznej, prowadzącej do gigantycznej rury, w której znajdował się wir. — Jeśli tego nie zrobisz, to przewiduję trudności w trzymaniu się razem – za chwilę wejdziemy w bardzo bliski kontakt z „i”.

Teraz, kiedy znaleźli się w już samym wirze, proroctwo okrągłego naukowca spełniło się w bardzo znacznym zakresie. To prawda, że obaj mężczyźni mogli się widzieć, widzieli również łączący ich pasek, ale zwykłe, kierunkowe postrzeganie w tym nowym i wstrząsającym kontinuum było całkowicie pozbawione znaczenia. Pasek rozciągnął się na nieskończoną odległość, a przy tym odległość niewytłumaczalnie dążącą do zera. A kiedy próbowali zbliżyć się do siebie, pasek naprężał się, odciągając ich do tyłu! Widzieli niewyraźnie laboratorium, jakby przez jakąś świecącą mgłę. Jego tak znajome linie były niesamowicie zaburzone, jak gdyby widziane z jakiejś trudnej ogarnięcia perspektywy. Mieli jednak trochę czasu, aby się rozejrzeć.

— Jerry, na pomoc! — Krzyk Leory dotarł do ich uszu, zanim zdążyli choć krótko pomyśleć nad tymi niezwykłymi sensacjami. — Zrobiłam jeden krok – jeden ruch, najwyżej – w stronę wejścia, przez które tutaj się dostałam, a ono zniknęło! Teraz ledwie was już widzę, i boję się ruszyć w waszą stronę, żebyście wy również nie zniknęli. Co mam robić?

— Proszę nie robić zupełnie nic — zimno poinstruował ją Crabbe. — Jak niby czysto mechaniczny mózg statystyka albo słabowity mózg kobiety, miałyby zrozumieć fakt, że ten region cechuje rzeczywistość „i"; które, jak ty Jerry przynajmniej powinieneś wiedzieć, znane jest jako pierwiastek kwadratowy z minus jeden. A więc, linia wzajemnego widzenia i wszystkie inne wektory, muszą zostać skorygowane o tę wielkość. Dlatego właśnie panna Leora, oczywiście, nie jest w stanie określić właściwego kierunku. Ja przejdę w jej stronę, holując ciebie na pasku.

Ruszył pod jakimś dziwnym, niewytłumaczalnym kątem i po kilku chwilach Leora przywarła szaleńczo do ramienia Jerry'ego.

— Ale co my teraz zrobimy? — zaszlochała. — Nie widzimy wejścia z laboratorium, ani żadnego innego!

— To elementarne, moje drogie dziecko, elementarne — uspokoił ją wyniośle Crabbe. — To tylko kwestia zakresu zmian, oraz naszych przemieszczeń, które już obliczyłem w głowie, z dostateczną dokładnością. Chodźcie ze mną, bez trudu potrafię znaleźć drogę powrotną.

Poszedł kolejną wykręcającą zmysły drogą, i wkrótce rzeczywiście pojawiło się przejście – ale nie była to trójwymiarowa śluza powietrzna, oddzielająca wir od laboratorium astrofizycznego. Zamiast niej za tym portalem zobaczyli nieskończone morze purpurowo-zielonego światła, wypełnione czymś, czego ich umysły nie były w stanie ogarnąć. Przez przejście wylewał się na zewnątrz, obok nich i przez nich, potok czegoś co było zarówno niewidoczne i nieodczuwalne, a jednak w tym samym czasie równie namacalne jak twarda stal.

— Ach, tak. Żaden fakt ani stwierdzenie, nie jest w pełni prawdziwe — zadrwił niezmordowany Jerry. — Nawet to, że jest pan w stanie bez trudu znaleźć naszą drogę powrotną.

— Drobny szczegół — profesor beztrosko machnął groteskowo wielką jak rękawica bokserska dłonią. — Nie jestem statystykiem, nie powinno więc być zaskoczeniem, że przeoczyłem kwestię ujemnego pierwiastka. To drobiazg, który bez problemu będzie można skorygować w razie potrzeby. Teraz jednak skoro już tutaj jesteśmy, patrzcie, jaki wkład do nauki mogę

wnieść analizując i ogłaszając wiedzę o tym pozawymiarowym wszechświecie do którego dotarł mój wir!

Po chwili, w otworze wiru, roztoczyła się przed nimi sceneria, na widok której nawet w najwyższym stopniu egotystyczny Crabbe, zamilkł z wrażenia – sceneria, prawdę mówiąc, zarówno w swej idei jak i w szczegółach, kompletnie niepojęta dla ludzkich istot inteligentnych – jeden wielki manifestujący się, zmaterializowany paradoks. Ale stopniowo, coś w tym wypływającym z powykręcanej rury strumieniu, obdarzyło ich umysły nadludzką jasnością i zakresem percepcji. Powoli stali się świadomi całego wszechświata, makroskopowego i mikroskopowego. Galaktyki, układy słoneczne, planety, cząsteczki, atomy i elektrony, każde z rojącymi się na nich miliardami inteligentnych bytów – aż do nieskończenie małych elementów składowych samego eteru, których istnienie ogromna wiedza matematyczna Crabbego, pozwoliła mu tak niejasno pojmować – wszystkie te rzeczy roztaczały się przed nimi w jednej przestrzeni i w tym samym czasie; a jednak, nawet z ich całą świeżo nabytą wiedzą, trójka intruzów nie potrafiła określić w jakim miejscu oni sami stali, w fantastycznym planie tego niewiarygodnego kosmosu; czy byli w rzeczywistości więksi niż ten cały obcy super-wszechświat, czy też byli tylko nic nieznaczącymi plamkami na powierzchni najmniejszego z jego elektronowych światów! Nie potrafili również zrozumieć swojego ruchu przez to obce kontinuum, które zgodnie z tym co wiedzieli, powinno być ziemską próżnią. Z pewnością nie szli; ani nie lecieli; ani nie unosili się, ale mimo wszystko jakoś się poruszali, naprawdę, czasami mimowolnie.

W ten sposób przedostali się przez otwór i zobaczyli, że jego obrzeże otoczone jest mnóstwem ułożonych warstwami mechanizmów, z których każdy kierował płomienistą energię przeciwko wirowi – którego siły, szarpały tę konstrukcję i rozdzierały ją z szalonym entuzjazmem – ale nie udało im się poczynić większych szkód potężnym generatorom, z którymi się zmagały.

— Ach, już wszystko rozumiem! — wykrzyknął Crabbe. — Wiry mgławic naprawdę są tunelami do zewnętrza – tunelami zbudowanymi przez istoty inteligentne tego kosmosu. Tak samo jak otwory przelewowe naszych ziemskich tam, pozwalają uciec nadmiarowi wody, te tunele również coś przenoszą – prawdopodobnie nadmiar energii – którą nasz wszechświat odbiera jako nowopowstałą materię. Nasz wir przedziurawił coś, co powinno być całe, i teraz próbują naprawić uszkodzenie!

— A co się stanie, jeśli to naprawią? — krzyknęła z niepokojem Leora. — Wtedy już nigdy nie uda nam się wrócić do domu!

— Och, nie powiedziałbym tego.

Zapewnienie Jerry'ego zostało szorstko przerwane przez jakąś niewidzialną siłę, która poderwała gości w „powietrze" i zatrzymała ich nieruchomo zawieszonych przed wielkim potwornym stworem, zbudowanym z różnokolorowych metalowych segmentów. Jednocześnie w ich głowach zawibrował grzmiący głos:

— Kim jesteście? Skąd przyszliście? Dlaczego?

— Acha! — Inteligencja wysondowała ich umysły, a następnie wcisnęła w nie myśl: — Z Niższych Poziomów Energetycznych, co? Wiecie, wy słabowite móżdżki, że takiego wtargnięcia nie można tolerować!

Uwaga Inteligencji równie szybko odwróciła się od intruzów, jak na nich zwróciła; ale poczuli i zrozumieli jej bezgłośne polecenie do operatorów mechanizmów na krawędzi wiru.

— Ten otwór do naszego wszechświata został wykonany przez pół-inteligentne byty z Drugiego Poziomu. Przygotować generatory siły X72B31Q45, i wyciągnąć go fizycznie!

Kiedy nowa siła weszła do akcji, ze zmasowanych emiterów strzeliły jeszcze gwałtowniejsze języki płomienistej energii, bombardujące otwór tunelu, uderzające w coraz bardziej dzikie morze ognia szalejące na gwałtownie wibrującym wirze, przez który przybyła tutaj trójka nieszczęsnych istot ludzkich.

[Harl Vincent]

— **N**iższe Poziomy Energetyczne, co! Słabowite móżdżki! — Ogromne fałdy skafandra profesora Crabbe, dygotały gwałtownie w wyniku wstrząsającej nim furii. — Niech sobie zbierają te swoje siły i próbują je zastosować przeciwko mojemu wirowi! Niech…

— Cisza! — zahuczał w ich myślach głos Inteligencji, koło której ogromnego cielska ciągle się unosili. — I zapamiętajcie sobie, wy apostołowie ignorancji, że oszczędzono was tylko dlatego, byście mogli obserwować zniszczenie waszej partackiej prymitywnej roboty!

— Phi! — parsknął profesor.

Uspokoił się, drżąc z nowego uczucia, które się pojawiło w jego duszy – strachu, podczas gdy potężne siły na obrzeżu wejścia do wiru, wypełniły całą przestrzeń uderzeniami swej zebranej razem energii. Inteligencja, nie zwracając na nich uwagi, jakby nie mieli bezpośredniego znaczenia, zniknęła gdzieś w odległej bliskości.

— Udaje im się — zaszlochała Leora. — Popatrz, Jerry… panie profesorze… otwór się zamyka. Nie uda nam się wrócić.

Jej słowa, nie były precyzyjnym opisem tego, co się w tej chwili działo. Zmasowane mechanizmy otaczające otwór wiru, rozstawiły się równo wokół niego, tak by ledwie się stykać, i każdy z ogromnej liczby emiterów zmienił się w ziejącą płomieniami i parą lufę, zalewającą otaczającą go przestrzeń potężnymi kolumnami zwiększającej prędkość wiru energii. Sam wir, jak ogromne koło turbiny napędzanej silnikami odrzutowymi, wzmagał swe normalne tempo obrotu, z niewiarygodnym przyśpieszeniem. Na ich oczach z każdą chwilą obracał się coraz szybciej, aż w końcu cały zmienił się w ognistą, rozmytą masę.

— Fajerwerki — chrząknął Jerry. — Przypomina mi gigantyczne, obracające się koło ogniste.

— Czy nie mógłbyś być bardziej poważny? — lamentowała Leora. — Nie widzisz, co się dzieje? Obracają nim tak szybko, że musi w końcu wybuchnąć…

— Nonsens! — wyrzucił z siebie Crabbe. — Energia jest niezniszczalna.

— A żaden fakt ani stwierdzenie, nie jest w pełni prawdziwe… — zaczął Jerry. Kuksaniec rozsądnie zaordynowany mu przez Leorę w żebra, zapobiegł dalszemu dręczeniu profesora.

W niepojęty sposób, wir zamiast się rozszerzać wskutek działania siły odśrodkowej swego obrotu, zaczął zmniejszać rozmiary. Zamykał się, tak jak Laura stwierdziła na początku. W tym samym czasie, przysuwał się bliżej miejsca zajmowanego przez trójkę naszych podróżników w purpurowo-zielonej nieskończoności. Gorący dech szalejącej energii, zmusił ich do cofnięcia się.

— A teraz — zaryczał bezdźwięczny głos Inteligencji, — wasze bezwartościowe egzystencje znajdą koniec, razem z tym naruszającym nasz świat mechanizmem, który nieudolnie wymyśliliście.

— Ach — odetchnął profesor, chwytając Jerry'ego i dziewczynę. — Tędy.

Wprawił ich w ruch po linii, która nie była ani prosta, ani zakrzywiona, linii nie odpowiadającej żadnemu ziemskiemu równaniu, lub postaci. Po chwili nastąpiło uderzenie, jakby zniekształcające sam wszechświat, i znaleźli się w nowym, bardzo niepokojącym środowisku. Przez moment wszystko tonęło w zupełnej czerni, kompletnej nicości, a potem w rozmytej dali pojawił się jaskrawy punkcik światła. Jerry nagle stał się świadom, że dziewczyna przytula się mocno do jego boku, poczuł niekontrolowane drżenie jej drobnej postaci.

— Teraz zupełnie się zgubiliśmy — szlochała.

Profesor Thaddeus Crabbe utracił nieco ze swego pompatycznego sposobu bycia.

— Czekajcie — poradził niemalże pokornym tonem.

Plamka światłą robiła się coraz jaśniejsza i szybko się do nich przybliżała. Potem z nagłą bezgłośną rozrzutnością buchnęła, zalewając potężną ciemność deszczem jaśniejących fragmentów.

Jerry wymamrotał:

— Kolejne fajerwerki.

Miriady plamek światła zatrzymały się w miejscu, zdobiąc odległe otchłanie kosmosu gwiazdami, konstelacjami, mgławicami. Znaleźli się w nowym i nieznanym sobie wszechświecie, tak jakby wycięci ze swej własnej sfery istnienia, oraz z dziwnego wszechświata, który właśnie opuścili, naprawdę zupełnie przestali istnieć jako ludzkie byty.

Leora przełknęła głośno ślinę, ale, odważnie, przestała wypłakiwać swoje obawy.

— Gdzieś poza tym miejscem — zauważył profesor z cieniem bezradności w głosie, — jest nasz własny wszechświat, nasz wir – twierdzę, że oni nie mogli go zniszczyć – nasze laboratorium. Jakoś musimy się dostać do niego lub do nich.

— Proponuję Fundację — zasugerował Jerry, nie mogąc oprzeć ochocie do kpiny.

Jego uwaga nie wywołała odpowiedzi, co było czymś w najwyższym stopniu niezwykłym dla okrągłego mężczyzny, u jego boku. Ewidentnie, sytuacja była znacznie bardziej poważna, niż by tego chcieli.

Leora, poważnym ale spokojnym głosem zapytała:

— Gdzieś, powiedział pan, panie profesorze, jakoś. Czy ma pan jakiś plan?

— To wymaga dłuższego przemyślenia, uważnego przemyślenia — przyznał Crabbe. — Trzeba przeprowadzić najbardziej potrzebne obliczenia, z wielką troskliwością, żeby zapewnić ich odpowiednią dokładność.

— Na rejestratorach dźwięku w pańskim laboratorium — powiedziała Leora pozornie niezbyt na temat — zapisały się pewne pańskie słowa odnośnie prawdy. Zakrzywiona prawda, jak mi się wydaje…

Jerry zachichotał.

— Przekręcona prawda.

— Mówię poważnie — strofowała go dziewczyna. — Chodzi mi tu o teorię krzywizny przestrzeni, nawet tej przestrzeni w której jesteśmy. Czy nie moglibyśmy podążać po linii krzywej i w ten sposób powrócić do naszego punktu wyjścia?

— Umysł kobiety… — zaczął profesor na swoją starą nutę. Ale natychmiast przerwał i w jego głosie pojawiło się znacznie więcej szacunku. — To jedyna możliwa droga, moja najdroższa młoda damo; musimy powrócić po linii krzywej. Ale odległości wchodzące w grę są niewyobrażalnie wielkie, liczone w tysiącach tysięcy lat świetlnych. Poza tym…

Nagle zadrwił z niego grzmiący, bezdźwięczny głos znikąd, głos Inteligencji.

— Poza tym, ty ignorancie, wielkie zakrzywione linie w kosmosie, nie wracają do swych punktów wyjściowych. A przynajmniej nie dokładnie, z powodu sił zewnętrznych, przekraczających twoje mizerne zdolności pojmowania, a odstęp między przesuniętymi końcami wielkiego kręgu, który musiałbyś pokonać, jest ciągle zbyt wielki aby było to możliwe. Próbujcie, jeśli chcecie, wy głupi intruzi, nigdy nie uda wam się wrócić.

[Murray Leinster]

Inteligencja zniknęła z ich pobliża, i pozostały jedynie trzy niewielkie postaci, unoszące się razem w pustce, bezmiarze przekraczającym wszelkie porównania. Nie mieli poczucia wagi. Mogli wisieć bez ruchu. Mogli – co było bardziej prawdopodobne – pędzić przez bezdenne otchłanie kosmosu, po jakiejś kolosalnej orbicie, która za tysiąc lat, czy coś podobnego, mogła zaprowadzić ich w pobliże jakiegoś gigantycznego słońca. A wtedy powoli wyciekające z ich skafandrów gazy utworzyłyby ogony kometarne wokół niewielkiej masy ich ciał. Żadna z gwiazd nie wyglądała na położoną bliżej niż inne. Nie było widać żadnego źródła

pomocy, ani ratunku. A im nie pozostało więcej życia, niż mieli tlenu w swych żałośnie małych zbiornikach, przypiętych na plecach.

Jerry usłyszał puknięcie w hełm. Leora przystawiła swój do jego, tak żeby w ten sposób porozmawiać, ponieważ struny głosowe były bezużyteczne w próżni przestrzeni kosmicznej.

— Jerry… nie podoba mi się ta Inteligencja. Myślę, że ona jest zła!

— Wydaje mi się — stwierdził filozoficznie Jerry, — że komary też czasami uważają, iż ludzie są źli, zwłaszcza kiedy odbijają się od szyby okiennej. Obawiam się jednak, że to ona wygra ten spór. Mnie wszystko kompletnie się pomieszało, mniej więcej wtedy kiedy profesor zaczął chodzić w bok – żeby pójść do góry, do przodu – żeby pójść w dół, do tyłu – żeby pójść w bok, a w kółko – żeby posunąć się naprzód… Zaraz!

— Co? — głos Leory brzmiał przez metalowe hełmy metalicznie, ale jego ton był zdecydowanie smętny, chociaż nadal śmiały. — Co, Jerry?

— A więc, profesor robił w ten sposób coś zupełnie niemożliwego! Chwileczkę! Pozwól, że z nim o tym porozmawiam! Panie profesorze!

Pociągnął za pasek łączący go z profesorem. Hełm naukowca zderzył się z jego, z głośnym hukiem.

— Idioto! — ostro rzucił profesor. — Niemalże rozbiłeś mi hełm. O co chodzi?

— Myślałem o drodze powrotu do domu!

— Statystycy nie myślą — z irytacją oznajmił profesor. — Obliczyłem, że wcześniej czy później musimy trafić na nasz wszechświat, nawet tylko na zasadzie praw prawdopodobieństwa. Obliczam właśnie najbardziej prawdopodobny czas.

— Za mniej więcej trzy godziny zacznie brakować nam tlenu. Czy to brzmi jakoś obiecująco?

— Nie! Wynik będzie rzędu milionów lat. Albo miliardów.

— Interesujące, ale niezbyt praktyczne — odparł Jerry. — A teraz proszę mnie posłuchać. Tam wtedy, chodził pan naokoło i poruszał się pan w wybranym przez siebie kierunku, wykorzystując pierwiastek z minus jeden. Ale nie przewidywał pan wcześniej, że będzie musiał go używać, nieprawdaż?

— Oczywiście, że nie! Ale zobaczyłem jakie tam panują warunki i zrozumiałem je.

— Zrozumiał pan je! — powtórzył Jerry z satysfakcją. — To właśnie jest sedno sprawy. Ja również, przez chwilę. Rozumiałem jasno, że czas jest tylko wymiarem, że przyszłość i przeszłość są jednym, oraz że wszystkie rzeczy i czasy istnieją jednocześnie. Wtedy, wiedziałem to doskonale. Ale ponieważ mój mózg nie był przygotowany do rejestrowania takich rzeczy, teraz pamiętam wszystko jakby to było we śnie, a bardzo istotne elementy mi uleciały. Czy panu również coś uciekło?

— Oczywiście, że nie! Niby dlaczego?

— Nie powinno — zgodził się z ochotą Jerry. — Ponieważ pański umysł przyzwyczajony jest do manipulowania faktami jako abstrakcjami matematycznymi, a one powinny być zupełnie jasne, kiedy mają konkretny charakter. Co daje nam nasz przełom!

Głos profesora brzmiał podejrzliwie.

— Do czego to wszystko prowadzi?

— Po prostu do tego — odparł Jerry. — Znaleźliśmy się z powrotem w przestrzeni trójwymiarowej i ze zwykłego przyzwyczajenia myślimy w kategoriach trójwymiarowych. Ja, tak naprawdę, nie potrafię myśleć inaczej. Ale tam byliśmy w przestrzeni o nieskończenie wielu wymiarach, i myśleliśmy w kategoriach wielowymiarowych. Widzieliśmy całą przestrzeń i czas na raz. Obecnie, ja tego nie potrafię, ale pan powinien być w stanie myśleć w taki sam wielowymiarowy sposób, gdyby celowo się pan do tego zmusił. A jeśli pan to zrobi…

Leora oznajmiła żałośnie:

— Ja nie chcę myśleć o żadnych wymiarach. Ja chcę do domu!

— Hm — stwierdził profesor. — Po dłuższej nauce, Jerry, mógłbyś stać się kimś więcej, niż statystykiem. Daj mi pomyśleć.

Znowu zapanowała cisza. Trzy niewielkie skafandry, wisiały w nieskończoności, obserwowane przez odległe, jasne i nieprzyjazne gwiazdy. Jakiś przypadkowy ruch jednego z nich, wprawił ten niewyobrażalny wszechświat w powolny obrót wokół nich – chociaż, oczywiście, w rzeczywistości to oni się obracali. Zawór tlenowy w hełmie Jerry'ego zasyczał i pstryknął. Nagle zaczęło mu się wydawać, że wydawane przez niego odgłosy się zmieniły. Ciśnienie tlenu spadało.

Jerry wyciągnął swą okrytą rękawicą dłoń.

— Panie profesorze, lepiej niech pan się pośpieszy — powiedział. — Mój tlen jest na wyczerpaniu.

Poczuł dziwne zimno. Jego szukająca profesora dłoń, chwyciła pustkę. Pokręcił gwałtownie dokoła głową. W zimnym blasku mnóstwa gwiazd zobaczył, że profesor zniknął. Posłyszał wystraszony głos Leory:

— Jerry… mój tlen! Właśnie się skończył…

— Mamy w skafandrach tlenu, może nawet na pięć minut — pewnie oznajmił Jerry. — A profesor gdzieś zniknął.

W tym momencie w ich mózgach zdawał się zawibrować grzmiący głos Inteligencji. Wróciła, aby ostatecznie z nich pokpić.

— Głupcy! Wasz wir został zniszczony! A wy, jedno po drugim, zginiecie, medytując nad waszym zuchwalstwem!

Głos ucichł. A Jerry nagle wpadł we wściekłość.

— Ten przeklęty stwór… — wysapał, — …ten przeklęty stwór zabrał profesora i zabił go. Teraz zabierze nas, po kolei, Leoro! Musimy się mocno złapać. Tak mocno, że nic nie zdoła mi ciebie odebrać! Może zginiemy, ale przynajmniej zginiemy razem!

Głos Leory dotarł do niego przez zetknięte hełmy.

— Jerry… chciałabym ci coś powiedzieć. Władowałam się w tę… przygodę ponieważ ty tutaj szedłeś. Nigdy nie zwracałeś na mnie uwagi, ale jeśli już mamy umrzeć, to cieszę się, że… razem.

Jej ręce otoczyły jego szyję, przez groteskowy skafander kosmiczny. Pełen gwiazd wszechświat wirował powoli wokół dwu drobin w nieskończoności, dwóch mocno przytulonych postaci, uformowanych niezgrabnie z gumy, żelaza i szkła, ściskających się mocno w wielobarwnym świetle mrowia gwiazd.

— Do diabła! — zawołał gorzko Jerry. — Nigdy bym się nie ośmielił wyznać ci, że cię kocham, ponieważ masz tak dużo pieniędzy i mogłabyś pomyśleć, że poluję na nie! Te piekielne hełmy… Muszę umrzeć, nie mogąc cię nawet pocałować! Niech to wszyscy diabli!

I wtedy nagle coś go pociągnęło. Niewiarygodnie. Nieodparcie. Szybko przycisnął się do Leory, zmagając się jednocześnie z tym przyciąganiem.

— Ta przeklęta Inteligencja — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Próbuje nas rozdzielić…

Przyciąganie stało się nieodparte. Przywarli do siebie, trzymając się z całych sił. Coś się poddało. Skręcające uczucie nudności. Niewiarygodny, wykręcający duszę zawrót głowy. Potem poczucie wagi…

Leżeli rozciągnięci na podłodze. Pod nimi była podłoga. Świeciło na nich z góry światło. Szarpnęły ich czyjeś dłonie.

— Słabowity móżdżek, co? — zagrzmiał głos profesora. — Niższy poziom, tak? Ja jej jeszcze pokażę!

Jerry rozejrzał się wokół siebie. Zerwał z głowy hełm. Pośpiesznie, niezdarnie zdjął również hełm Leory. Pocałował ją. Kilka razy. Byli z powrotem w laboratorium, a profesor Crabbe, zupełnie zdjąwszy z siebie skafander kosmiczny, szaleńczo gestykulował.

— Spójrzcie tylko! — wrzasnął z furią. — Ona zniszczyła mój wir! Spójrzcie!

Jerry poczuł jego szarpnięcia za ramię, żeby zobaczył. Niechętnie, odwrócił głowę. Ale ciągle trzymał Leorę w mocnym uścisku.

— Eeee… a więc pan też wrócił, panie profesorze? — spytał.

Profesor popatrzył na niego płonącymi z gniewu oczyma.

— To pytanie — stwierdził sucho — mogło zostać zadane tylko przez statystyka. Miałeś rację co do jednego. Siłą nawyku, myślałem wyłącznie w kategoriach trzech wymiarów, kiedy miałem niezrównaną sposobność, ujrzeć matematyczne abstrakcje, jako konkretne fakty. Natychmiast, kiedy tylko przypomniałeś mi o praktycznych aspektach właśnie zdobytej wiedzy, oczywiście byłem w stanie wyobrazić sobie dokładny kierunek, w którym musiałem się poruszać aby wrócić do mojego laboratorium. Prawdę mówiąc, wyciągnąłem tylko rękę, złapałem za klamkę od drzwi i przyciągnąłem się do laboratorium, zdjąłem skafander, żeby sporządzić notatki, i wtedy zauważyłem, że wir zniknął. To przypomniało mi o was. Pociągnąłem za pasek przywiązany do mojego skafandra i pojawiliście się tutaj. A ten pyta, czy ja wróciłem!

Jerry powiedział przepraszającym tonem.

— To rzeczywiście głupio zabrzmiało, panie profesorze.

Profesor Crabbe odrobinę stopniał.

— Pomimo wszystko — ustąpił, — nie można oczekiwać zbyt wiele od statystyka. A ty poczyniłeś bardzo użyteczną sugestię. Z pustej przestrzeni tego innego wszechświata, musiałem tylko sięgnąć ręką do klamki u drzwi, żeby znaleźć się w domu. A teraz, wyłącznie dzięki tej wiedzy, podróżowanie do wszystkich innych wymiarów, stanie się najprostszą rzeczą pod słońcem. Muszę udać się ponownie do tego kosmosu, w którym byliśmy, i jeszcze raz wrócić. Tylko po to, żeby wam pokazać, jakie to proste. Spójrzcie!

Chwycił za klamkę, uśmiechając się kpiąco. Jerry nagle rzucił się ku niemu.

— Zaraz! Zaraz! Proszę jeszcze tego nie robić…

Ale profesor już zniknął. Ja zdmuchnięty płomyk świeczki. Leora instynktownie przysunęła się bliżej Jerry'ego. Jerry zbladł. Profesora nadal nie było widać. Nie wrócił. Minęła minuta, dwie, trzy…

…cztery…

— Niech to diabli! — oznajmił Jerry powoli, bezradnie. — Czy to nie diabelska sprawa! Tylko wiedząc jak, potrafił podróżować między wszechświatami. Ale ze wszystkich możliwych miejsc, musiał wybrać akurat to, do którego zostaliśmy wygnani!

— A dlaczego nie tam? — spytała Leora. — Dlaczego? Inteligencja?

— Nie! — odparł gorzko Jerry. — Skafander. Przecież go zdjął! A jak długo mógł przeżyć w próżni międzygwiezdnej? Zginął, niech to diabli, a był jedynym człowiekiem, który mógłby stawić czoła tej przeklętej Inteligencji, wyzwaniu spoza świata!

KONIEC